

List opublikowany na portalu stowarzyszenie pomocników mariańskich

Każdy może zostać misjonarzem

To było moje pierwsze „spotkanie” z misjami. Miałam wówczas 16 lat. Do mojej rodzinnej parafii przyjechał misjonarz. Prawdziwy! Z Afryki, z Rwandy! Pamiętam, że był marianinem i że miał na imię Tadeusz. W bardzo żywołowy sposób opowiadał o swojej pracy. Jego słowa zrobiły na mnie wrażenie. Do dziś mam w oczach obrazy, które kreślił: tropikalny klimat, ryzyko chorób, malaria, która zabija ludzi, brak wody. Do tego brak prądu, niebezpieczne dojazdy do odległych wiosek, wyzierająca zewsząd nędza, poczucie samotności... Największe wrażenie zrobił na mnie fakt, iż pomimo takich warunków ks. Tadeusz był pełen radości i entuzjazmu; opowiadał, jakie szczęście daje mu głoszenie tym ludziom dobrej nowiny o Jezusie Chrystusie. Zapamiętałam też takie zdanie: „Nie każdy może pojechać na misje, ale każdy może zostać misjonarzem przez wspieranie misji modlitwą, cierpieniem, ofiarą”. Dał przykład św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która jest patronką misji, a przecież nigdy nie opuściła swego klasztoru w Lisieux.

Często wracałam w myślach do tego kazania... Byłam młoda, pełna ideałów. Postanowiłam zrobić coś dobrego z miłości – coś konkretnego. Codziennie, jak św. Tereska, zaczęłam modlić się za misjonarzy mariańskich w Rwandzie. Raz ze swego kieszonkowego wrzuciłam 2 złote do puszek na misje.

Dowiedziałam się, że w tym czasie moja mama „zaadoptowała” jednego z rwandyjskich misjonarzy i codziennie się za niego modli, za niego ofiarowuje cierpienia i trudy życia, aby ten misjonarz jak najwięcej ludzi doprowadził do zbawienia... Chociaż nie opuszczała swego domu, czyniła wiele dobra w dalekiej Rwandzie! Kilka razy w roku otrzymywała od marianów materiały do czytania, biuletyn misyjny i materiały do modlitwy. Wewnętrznie czułam, że to również jest powołanie. Moje życie nie stało jednak w miejscu. Szybko przyszedł czas matury, potem studia. Zamieszkałam w akademiku, pojawił się zupełnie inny rytm życia i to, co było kiedyś na pierwszym miejscu, zaczęło przechodzić na dalszy plan. Najważniejsza była teraz nauka, ale też życie towarzyskie. Jak to na studiach. Coraz częściej zapominałam o modlitwie, a nawet o niedzielnej Mszy świętej...

Potem wyszłam za mąż, pojawiły się dzieci. Byłam wierząca, ale już nie tak, jak owa gorliwa nastolatka, która słuchała kazania o misjach w Rwandzie. Chodziliśmy całą rodziną na Mszę świętą, dbałam o przygotowywanie dzieci do sakramentów, ale wszystko to było raczej formalne. Pochłonęło mnie życie. Realizowałam się pod każdym względem. Miałam wspaniałą rodzinę, dobrą pracę, wystarczająco dużo pieniędzy. Potem zrozumiałam, że otrzymaliśmy od Pana Boga tak wiele, a sami nigdy nie pomagaliśmy innym.

To „potem” przyszło w styczniu tego roku, kilka lat po śmierci mojej mamy. Nieoczekiwanie na jej nazwisko dotarła do nas przesyłka. Od Księża Marianów. Otworzyłam ją. Był tam piękny list skierowany do mamy, która przez wiele lat należała do grona przyjaciół misji mariańskich. Wzruszyłam się, że po trzech latach od śmierci mojej mamy, zakonnicy wciąż o niej pamiętają, że zainteresowali się brakiem z nią kontaktu, że nie przestali odprawiać za nią Mszy świętych.

Mój wzrok zatrzymał się na fragmencie listu: „Jeśli ten list trafił w ręce kogoś innego niż adresata, może to oznaczać, że Pan Bóg właśnie Ciebie zaprasza do udziału w dziele głoszenia Ewangelii i czynienia miłosierdzia w tych krajach, gdzie warunki są najtrudniejsze, gdzie toczą się wojny albo Kościół jest prześladowany. Świeccy w Kościele mają swoją niezastąpioną misję. Często ewangelizują świat, nie wyjeżdżając na misje, ale wspierają misjonarzy duchowo i materialnie, tak jak potrafią”.

Przeczytałam to zdanie i serce zaczęło mi bić mocniej. Zrozumiałam: to jest zaproszenie skierowane przez Pana Boga do mnie! Stało mi przed oczami pierwsze spotkanie z misjami, kiedy jako nastolatka usłyszałam słowa: „Nie każdy może wyjechać na misje, ale każdy może być misjonarzem”. Przypomniała mi się św. Tereska, mój zachwyt, moje modlitwy za pracujących na misjach...

Podzieliłam się swoimi refleksjami z mężem. Przeczytaliśmy raz jeszcze list do mojej mamy. Po raz pierwszy od wielu lat sięgnęliśmy po religijne pismo: „Z Niepokalaną” – kwartalnik dołączony do listu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam potrzebę Boga.

I oto stało się. Zaczęliśmy się z mężem modlić. Odprawiliśmy dołączoną do przesyłki nowennę o uzdrowienie na ciele i duszy. Wiedzieliśmy, że potrzebujemy uzdrowienia, że daleko odeszliśmy od Pana Boga, że nasze życie powinno wyglądać inaczej.

Uzdrowienie przyszło! W dniu 11 lutego, we wspomnienie Matki Bożej z Lourdes, poszliśmy do spowiedzi. Czuliśmy się tak, jakbyśmy narodzili się na nowo!

Dziś jestem szczęśliwa. Wiem, że Bóg mnie odnalazł. Choć Go nie szukałam, On mnie szukał. Szukał tyle lat. Swoim narzędziem uczynił Stowarzyszenie Pomocników Mariańskich, bo stamtąd dotarł do mnie list, który zmienił moje życie. Chcę pracować dla Chrystusa i Kościoła. Pragnę zmieniać świat przez swoje życie Ewangelią. Nie wyjadę na misje, ale mogę być misjonarką! Mam wiele radości i satysfakcji z tego, że mogę coś uczynić na rzecz głoszenia Ewangelii na świecie. Ja potrzebuję Boga, a Bóg potrzebuje mnie. Razem ze św. Teresą wołam: „Chciałabym przemierzać ziemię, głosić Twoje Imię... jedna misja mi nie wystarczyłaby, chciałabym równocześnie głosić Ewangelię w pięciu częściach świata, aż na najbardziej oddalonych wyspach”.